

Aneks III

Wspomnienia uczniów ks. Wojciecha Lewkowicza

1. **Czyński Apoloniusz** – członek chóru katedralnego w Przemyślu w latach 1930-1948 r. Prawnik, członek przemyskich towarzystw: Muzycznego i Przyjaciół Nauk.

„Moja przygoda z chórem ks. Wojciecha Lewkowicza rozpoczęła się w 4 klasie szkoły powszechnej w roku 1928 w szkole „na Sienkiewicza”, gdzie przybył ks. Lewkowicz i nakazał całej klasie zjawić się po południu. Przygarniał do siebie chłopca, podawał swoim pięknym tenorem ton i prosił o powtórzenie. Uciechy było co niemiara, gdy „kandydat” intonował zupełnie inny. Ksiądz ponownie podawał właściwy, a wówczas chłopiec „uciekał” znowu w inne rejony dźwiękowe. Takim kazał siadać na ławce „po lewicy” a tych, którzy bezbłędnie intonowali, sadzał „po prawicy”. Po egzaminie, tym „po prawicy” kazał zjawić się na wikarówce na próby. I tak się zaczęło. Solfeż, teoria, śpiew gregoriański (to był „konik” księdza), gra na instrumentach, dyrygentura, no i emisja głosu. Zawsze przed próbą chłopcy „polowali” na księży przechodzących koło wikarówki, a szczególnie upodobali sobie ks. Andrzeja Gorczycę. Gdy się zjawiał, cała czereda rzucała się do całowania i łaszenia się, by zmiękczyć serce katechety. Efektem częstym był datek nawet 5 zł, za co oczajdusze kupowali w Mascotte na Franciszkańskiej (obecnie 22 Lipca – Wedel) puszkę kilkukilogramową landrynek. W rocznicę, chyba, sakry biskupiej biskupa Anatola Nowaka zjawiliśmy się od tyłu pałacu biskupiego, by śpiewem uczcić jego święto. Mieliśmy bowiem na uwadze nie tylko uświetnienie rocznicy, ale pewność, że - jak co roku - poprosi „na pokoje” i ugości kubkiem czekolady z ciastkami, o jakich dzisiaj próżno marzyć. /.../

Już od roku 1931 chórzyci spędzali wakacje w Przysietnicy położonej w odległości 3 kilometrów od Brzozowa. Coroczny wyjazd następował 2 lipca, po mszy św. przed ołtarzem Matki Boskiej Jackowej. W towarzystwie rodziców udawaliśmy się na stację, gdzie czekał na nas osobny wagon przyłączony do pociągu. /.../ W Sanoku była wysiadka i tam też czekały na nas furmanki z folwar-

ku „Widacz” koło Brzozowa. Podróż była dość długa, bo należało pokonać około 30 km – przez Grabownicę i Brzozów. Na każdej furmance tkwiły proporce z flagami polskimi i papieskimi. Na miejscu w Przysietnicy, czekał na nas posiłek przygotowany przez Siostry Służebniczki starowiejskie. Pierwsze wrażenie na widok naszego domu było niesamowite. Ogromny, drewniany dom stał na grubych kłocach; można było przełazić pod nim na kolanach. Na drugi rok dom został już podmurowany. Jedliśmy na werandzie, na której podczas wiatru czy deszczu nie sposób było usiedzieć. Dlatego w kolejnym roku weranda została oszklona. Wcześniej była chroniona płótnami, które w czasie wiatru nadymały się jak żagle, co w połączeniu z próżnią pod domem czyniło wrażenie płynącej „Arki”. Stąd też powstała nazwa naszego domu. Już od roku 1934 mieliśmy piękny basen kąpielowy: długości około 30 m i 4 m szerokości. Cały był zrobiony z brusów sosnowych. Każdy chłopiec przez okres wakacji musiał posiadać sztukę pływania. /.../

Chór przebywał na wakacjach w swojej „Arce” w Przysietnicy, a było to w roku 1935 lub 1936 i do naszego ks. Lewkowicza dotarła wiadomość, że w letniej rezydencji biskupiej przebywają na krótkim wypoczynku biskupi z Włoch i Niemiec. Wiadomym tylko księdzu sposobem natychmiast ułożył w tych językach kilka piosenek w układzie 3-głosowym. Po próbie udaliśmy się pod rezydencję i ustawiliśmy się naprzeciw werandy, na której przebywali dostojnicy. Za nami ściana lasu. Zaczęła się serenada – mimo znacznej odległości akustyka była wyborna. Odezwały się oklaski i wołania: brawo, bravissimo! Musieliśmy nawet bisować. Jak się okazało, goście w ogóle nie przypuszczali, że w ówczesnej Polsce może być taki chór i zapragnęli czegoś więcej się o nim dowiedzieć a przy tym złożyć rewizytę. Po kilku dniach, po południu, ujrzeliśmy z daleka zbliżających się gości, wraz z ówczesnym ordynariuszem, biskupem Franciszkiem Bardą na czele. Wyszliśmy wszyscy z księdzem naprzeciw gości, a potem było zwiedzanie „Arki”, no i śpiewy.”

A. J. Lubicz-Czyński, *O chórze księdza Lewkowicza niekoturnowo*, „Pogranicze” 1997, nr 4, s. 10.

2. **Herman Franciszek** - członek chóru katedralnego w Przemyślu i uczeń eksperymentalnej klasy muzycznej w latach 1945-1949. Absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie. Obecnie emeryt mieszkający w Przemyślu.

„Dziękuję losowi, że było mi dane spotkać na swojej drodze ks. Lewkowicza. Miałem wówczas 11-14 lat. Z radością wspominam wspaniały okres nauki i śpiewania w Chórze Katedralnym, którym kierował i dyrektorował niezapomniany ks. Wojciech Lewkowicz. Wielu chłopców wychował i ukierunkował ich charaktery, stali się porządnymi ludźmi, wielu ukończyło studia wyższe. /.../

Fortepianu w domu nie miałem, chodziłem do kolegów lub w czasie przerwy lekcyjnej dobiegałem do pianina i przez 3-4 minuty ćwiczyłem zadaną lekcję. Natomiast w domu miałem narysowaną klawiaturę na papierze i tak ćwiczyłem słysząc poszczególne tony. /.../

Śpiewałem w sopranach, byłem drugim po Kazimierzu Paluchu, który śpiewał partie solowe. Najbardziej w pamięci utkwiły koncerty, które były zawsze wielkim przeżyciem. Lipiec 1947 r. w mej pamięci zapisał się szczególnie. Przebywaliśmy wówczas na kolonii w Olczy koło Zakopanego. Wystąpiliśmy w sali „Morskie Oko” w Zakopanem. Był to koncert z prawdziwego zdarzenia! Dyrygował ks. Lewkowicz, na fortepianie akompaniował Stanisław Rajchel. W czasie koncertu śpiewaliśmy między innymi pieśń „Pokłon Przczystej Dziewicy”, w której partię solową śpiewał sopranem Kazimierz Paluch. Popelniał ciągle jeden mały bład, ks. Lewkowicz zwracał mu wiele razy uwagę, a on ciągle zamiast słowa „kapieli” śpiewał „kapiauli”. Co w rezultacie wyglądało następująco: *Wschodzi na Syjon Dziewica, jak ranek z morskiej kapiauli ...*, w tym miejscu melodia miała wysoką górę. Ale i tak wypadło bardzo ładnie. W pieśni tej, drugą partię solową śpiewał barytonem starszy chórzysta Antoni Sander: *Uderzam w organ Twej chwale, duchy me bóstwem w zapale, aż zagrzmię piersią jak heruby* – tu wznosiła się ku górze linia melodyczna i w tym miejscu bardzo głośno odśpiewał: *zagrzmię światu na skonanie...*, że aż ciarki przechodziły po grzbiecie! Tak to jeszcze czuję wspominając dzisiaj”.

Przemyśl, 4 marca 2008 r.
Rękopis (w posiadaniu autorki pracy).

3. **Jaroszczak Bogusław** – członek chóru katedralnego w Przemyślu i uczeń eksperymentalnej klasy muzycznej w latach 1945-1959. Ukończył Politechnikę Wrocławską. Obecnie emeryt mieszkający w Przemyślu.

„Nie wiem jak by się potoczyły moje losy, gdybym na swojej drodze nie spotkał tego księdza. W owym czasie wiele rodzin było „okaleczonych” na skutek działań wojennych przez brak ojca, matki lub obojga. Dzieci z takich rodzin najczęściej wychowywała ulica w sensie jak najbardziej negatywnym. Ks. Lewkowicz był dla takich dzieci mężem opatrznościowym, który pomagał nawet materialnie. Wielu z nas wybawił przed pójściem na tak zwane „manowce”. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić jak można było w owym czasie „wolnego” młodzieńca zachęcić i zainteresować muzyką. Wielu z nas przez okres wojny nie uczęszczało do żadnej szkoły i poniekąd odzwyczaiło się od obowiązków szkolnych. Jak zatem takich zachęcić do uczęszczania do szkoły z dodatkowymi zajęciami i do tego z muzyki! Jak nakłonić do systematyczności, pracowitości, punktualności? Przynależność do klasy muzycznej oraz wspólnoty Chóru Katedralnego nakładała na nas dodatkowe obowiązki, ale nie traktowaliśmy ich jak dodatkowego obciążenia. Przez umiejętne dawkowanie wiedzy pobudzało w nas ciekawość i zainteresowanie. Pod tym względem ks. Lewkowicz stał się wielkim wychowawcą i pedagogiem przyciągającym młodzież, co było „solą w oku” dla władz komunistycznych.

Wielu z jego uczniów zostało ludźmi wartościowymi oddziałującymi na otoczenie, a wśród nich są muzycy, nauczyciele, duchowni, prawnicy, lekarze, inżynierowie, rzemieślnicy i inni. Wprawdzie później nie kontynuowałem studiów muzycznych, ale ugruntowane zdrowe zasady moralne pozwoliły mi w życiu rozróżnić dobro od zła, piękno od brzydoty i za to jestem Mu dożywotnie wdzięczny. Nie z mojej winy, już jako dorosły człowiek, nigdy nie miałem okazji osobiście podziękować księdzu za Jego pracę i trud włożony w kształtowanie pozytywnych postaw młodego człowieka.”

Przemyśl, 10 listopada 2005 r.
Rękopis (w posiadaniu autorki pracy).

4. S. dr Jończyk Alicja - była uczennica ks. Lewkowicza, absolwentka Studium Muzyczno-Liturgicznego w Aninie i PWSM w Krakowie. Obecnie wykładowca Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie. Współzałożycielka i członek Stowarzyszenia Polskich Muzyków Kościelnych.

„Ks. Lewkowicz stanął na mojej drodze w dwóch etapach. Pierwszym – były początki mej edukacji w Studium Muzyczno-Liturgicznym, którego był współzałożycielem. Mieściło się wówczas jeszcze w Międzylesiu. Nie były to czasy sprzyjające szkolnictwu prywatnemu. W każdej chwili groziła „wpadka”. Władze zakonne podjęły jednak ryzyko widząc palącą potrzebę kształcenia sióstr w sytuacji upadku poziomu gry organowej w kościołach. Innej możliwości siostry nie miały, szkolnictwo dla tej kategorii ludzi było szczelnie zamknięte. Chętnych do nauki nie brakowało, między innymi w skutek absolutnej prawie marginalizacji działalności osób zakonnych. Gorzej było ze zdolnościami. Leciwe siostry, piastujące odpowiedzialne funkcje, nie zawsze miały dość elastyczności, a także możliwości czasowych, by sprostać wymaganiom. W tym gronie, jako 18-latką, byłam dzieckiem w habitcie. Artystyczna dusza, ksiądz prof. Lewkowicz, nie miał więc łatwego zadania i zdarzało się, że jego cierpliwość wyczerpywała się. Grzmiał wtedy, nie przebierając w słowach, nie licząc się z dystynkcjami *...tu nie miejsce! Do wideł! Do wideł!...* Posiadał jednak tak ogromne umiłowanie kultury muzycznej, że jego wybuchy znajdowały uzasadnienie i zrozumienie. Wiele osób dochodziło do wniosku, że profesor ma rację, iż nie tu jest ich miejsce. Szeregi się kurczyły z pozytywnym efektem. /.../

Wśród wielu zalet miał ks. Lewkowicz i tę, że posiadał duże poczucie humoru. Wiadomo jak dalece ułatwia ono życie. Nawet „piorunujące” zajęcia potrafił kończyć jakąś dykteryjką, która wpuszczała „słoneczne promienie”. Nigdy nie zostawiał ludzi w *pogromie*. Kiedy już nie miał siły na coś więcej, wystarczyło: *Ale Wam dałem, co?* Wybuch wspólnego śmiechu rozładował napięcie. Ks. Lewkowicz prowadził emisję głosu. Jako dobry pedagog zalecał troskę o jego kondycję. Jednego razu podyktował nam przepis, na wszelki wypadek, gdyby nas dopadła chrypka lub kaszel uniemożliwiający prawidłowy śpiew. Mówił szybko, a my piszemy coś w rodzaju: *10 jaj, same żółtka utrzyć dokład-*

nie, dodać 25 dkg zmiażdżonego czosnku, tyleż masła, słoiczek miodu, ćwiartkę spirytusu, mocno podgrzaną miksturkę wypić na noc. Rano możesz się nie obudzić! Po tym stwierdzeniu podniosłyśmy głowy, a profesor, poważny, polecił nam głośno odczytać ten przepis. Była „beczka” śmiechu!

Po czterech latach straciłam kontakt z ks. Lewkowiczem. Zostałam wysłana do Krakowa, gdzie podjęłam naukę w PWSM na wydziale I. Zapewne i ks. Lewkowicz „maczał w tym palce”. Szkołę ukończyłam z wyróżnieniem i po wieczystej profesji powróciłam do Studium w Aninie już w innym charakterze. Wciąż byłam młodsza od wielu słuchaczek, które miałam uczyć. Wówczas to właśnie ks. Lewkowicz dodał mi animuszu. *Ja siostrę wprowadzę, orzekł.* Weszliśmy więc razem na moje pierwsze zajęcia. Była to harmonia na roku końcowym i w końcowym semestrze. Grupa zaawansowanych kpiarzy. Liczyłam na odpowiednią przemowę profesora. No i była. Dla mnie totalnie zaskakująca. Pamiętam tyle: *Prowadzę wam tu dobrą miotłę! Ona was tu nieźle przetrzepie...* i zostawił mnie na *pastwę losu*. Że jednak kpiarze znali się na żartach, nasze stosunki ułożyły się wspaniale.

Nasz ks. profesor był zamiłowanym chórmistrzem. W Aninie miał dobry materiał głosowy, podejmował więc ambitny repertuar. Na zakończenie roku szkolnego tradycją był koncert dla zgromadzonych gości. Byli to głównie dostojnicy duchowni. Pamiętam taki również „wyczyn”: Na tego rodzaju gali wykonujemy trudny, polifoniczny utwór o charakterze mocno emocjonalnym. Ks. Lewkowicz niskiego wzrostu, krępy, przy tuszy, dyryguje z ustawionego na podłodze krzesła. W pewnym momencie zachwiał się i padł na pulpit dyrygencki, ale utwór „szedł” dalej. Wiedziano, że byłoby dopiero nieszczęściem jego przerwania.

Ks. Lewkowicz był nieustrudzony w pracy, twórczy nie tylko muzycznie, także organizacyjnie. W jego głowie powstawały wciąż nowe pomysły. Pomysły śmiałe, ale osadzone w realiach. Z jego inicjatywy, po wielu trudnych staraniach, grupa studiujących w Aninie księży dała początek Muzykologii Kościelnej na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Ze Zgromadzeniem SS. Rodziny Maryi łączyły ks. Lewkowicza bliskie relacje. Był wdzięczny za zrozumienie swoich pomysłów i pomoc w realizacji. Zgromadzenie miało wykształcone muzycznie siostry, wspólnie z nimi organizował szkolenie. Własne pianino testamentem przekazał zgromadzeniu. Stoi sobie dumnie w salonie domu generalnego i strzeże świętej Jego pamięci.

Na pogrzebie ks. prof. Wojciecha Lewkowicz, w warszawskim kościele Wszystkich Świętych, prowadziłam chór połączony z dwóch ośrodków szkoleniowych, które założył i gdzie z takim poświęceniem pracował. Była to bardzo wzruszająca ceremonia. Czuliśmy wszyscy, iż żegnamy postać-legendę. Żyje w sercach wielu nadal.”

Warszawa, 6 lutego 2005 r.
Maszynopis (w posiadaniu autorki pracy).

5. Lewkowicz Zygmunt (1928-2006) – bratanek ks. Lewkowicza. Członek Chóru Katedralnego w Przemyślu w latach 1935-1939, Chóru „Mariańskiego” w Krakowie w latach 1950-1986.

„Na pierwszy plan jego osobowości wybijała się pracowitość. Z wielkim zaangażowaniem uczył religii, uczył śpiewu w seminarium, prowadził chór. Nauka śpiewu i ustawianie głosów najmłodszych chłopców to bardzo ciężka i mozolna praca, a efekt pracy krótkotrwały 2-4 lata, a potem mutacja głosowa. I tu najlepiej uwidacznia się mozolność i pokonywanie trudności, by osiągnąć cel. To sprawiło, że sam nie mógł podolać tym trudnościom. By znaleźć pomoc przy umuzykalnianiu młodych „wybrańców”, postanowił powołać klasę muzyczną. Widoczna tutaj cecha jego charakteru – upartość, by osiągnąć cel. Pamiętam ile energii w to włożył! Jak tym żył, martwił się, czy mu się to uda. Ileż razy jeździł do kuratorium w Rzeszowie, oczekiwał decyzji. To była jego pasja! Był w swoim żywiole. Realizował się na niwie pracy pedagogicznej w umuzykalnianiu młodzieży. To sprawiło, że ta młodzież była rozśpiewana, kochała śpiew, muzykę. Wielu chłopców pragnęło mieć własny instrument, by grać na nim jak najlepiej. W tym miejscu przypomina mi się takie zdarzenie: byliśmy na kolonii nad morzem, jeden z kolegów tak zapragnął mieć gitarę,

że zrobił ją z manierki, zaś struny zrobił z włosia końskiego, które wyciął napotkanemu na ulicy koniowi.

Z pewnością praca z młodzieżą kształtowała charakter księdza. Zawsze był usposobienia spokojnego. Nie przywiązywał większej wagi do codziennych spraw. Żył muzyką i śpiewem. Był bardzo uczynny dla drugich, pomagał najbiedniejszym. Zawsze pamiętał o rodzinie, pomagał przeważnie finansowo. Bardzo opiekuńczy. Nie przywiązywał większej uwagi do osobistego wyglądu. Lubił dobrze zjeść. Lubił „pichcić” – jak to w rodzinie Lewkowiczów. Jak znalazł trochę czasu pomagał w kuchni lub sam przygotowywał jakieś danie. Ulubioną jego potrawą były knedle z węgierkami.”

Kraków, 3 stycznia 2004 r.
Rękopis (w posiadaniu autorki pracy).

6. Menczak Stefan – emerytowany nauczyciel muzyki. Obecnie wykładowca w Diecezjalnym Studium Organistowskim w Radomiu. Był uczniem ks. Lewkowicza. Członek Chóru Katedralnego w Przemyślu w latach 1944-1945. (Zdaniem ks. Lewkowicza: *rzewny alt, przejawiający szczególne zdolności.*)

„Był rok 1942, byłem wówczas 9 letnim chłopcem. Jako ministrant służyłem do nieszporów w kościele farnym w Jarosławiu. Po nieszporach ks. Lewkowicz zapytał, czy mama jest w domu i czy może nas odwiedzić. Rodzice bardzo ucieszyli się wizytą księdza, choć nie ukrywali zaskoczenia. Ks. Lewkowicz powiedział, że bardzo mu się podoba mój głos i zapytał czy może zająć się moją edukacją muzyczną. Rodzice zgodzili się. /.../

W dużym pokoju stał fortepian, za którym zasiadł ks. Lewkowicz i zaczął grać spokojnie, cichuteńko...*A teraz posłuchaj bajeczki o małym Stefcu...* Zaczęła się opowieść ilustrowana improwizowaną muzyką zatytułowana „Dzień Stefcia”: *...Stefcio śpi, budzi się, przeciąga, ziewa, je śniadanie, (łyżeczka spadła na podłogę), zbiega po schodach, biegnie do szkoły...* Byłem szczęśliwy, to była muzyczna opowieść o mnie, z pięknym opowiadaniem - miękkim, jedwabistym, miłym głosem ks. Lewkowicza. Była muzyka cicha, spokojna i wolna, momen-

tami zaś dynamiczna i szybka, wzrastało i opadało napięcie. Byłem przez chwilę w innym, bajkowym świecie. Potem pokazał mi i wyjaśnił budowę klawiatury, również w formie zabawy wyjaśnił budowę pięciolinii i nazwy nut. Dostałem starą, zniszczoną kartkę z zapisem nutowym (było czarno) moim zadaniem było podpisać nazwy nut. Była to pierwsza moja lekcja muzyki i pierwsze zadanie domowe. Na kolejnych spotkaniach, krok po kroku szliśmy dalej. I tak zacząłem widzieć linię melodyczną, zacząłem grać i śpiewać. Byłem dumny i szczęśliwy. Zacząłem też śpiewać w chórze kościelnym w Jarosławiu. Tam poznałem Mariana Kaszubę – sopran. Śpiewaliśmy w duecie, a często mieliśmy swoje solówki. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że zaczyna się w moim życiu dzieć coś nowego, coś, co będzie miało wpływ na moje dalsze życie. Że to niewinne śpiewanie, które sprawiało mi wiele przyjemności i zadowolenia, uścieliło mi drogę, po której będę szedł do końca życia wraz z muzyką.

Przyszedł dzień odejścia księdza Lewkowicza z Jarosławia. Po krótkiej rozmowie księdza z rodzicami, zapadła decyzja – wyjeżdżam do Przemyśla, będę mieszkał u księdza i tam dalej będę się uczył. Mieszkało nas kilku. Chodziliśmy do szkoły, uczyliśmy się muzyki. Ksiądz często w formie zabawy, zawodów, uczył nas zasad muzyki, często nas odpytywał. Śpiewaliśmy również w odradzającym się po wojnie Chórze Katedralnym. Jak zwykle, wraz z Kaszubą mieliśmy dużo solówek, często śpiewaliśmy w duecie na tle chóru.

Ponieważ mojego ojca, który był kolejarzem, przenieśli do Ząbkowic Śląskich, musiałem pojechać razem z nim. Skończyła się moja „muzyczna przygoda” w Przemyślu. W Ząbkowicach mieszkało zaledwie kilkanaście rodzin polskich. Było bardzo niebezpiecznie. Niemcy mordowali Polaków. Jako rewizor pociągów, ojciec bardzo często wcześniej wyjeżdżał na trasę. Budził mnie nawet o godzinie 4 nad ranem, jedliśmy wspólnie śniadanie i bardzo serdecznie żegnał się ze mną nie mając pewności czy jeszcze się zobaczymy. Zostawałem sam, szkoły jeszcze nie było. Miałem bardzo dużo wolnego czasu, aż do późnych godzin nocnych. W zamieszkiwanym przez nas domu był instrument i wiele nut, więc „topiłem się” w muzyce. Grałem bez opamiętania, zapominałem o czasie, grałem nawet po kilkanaście godzin dziennie. Z biegiem czasu dojeżdżały pol-

skie rodziny, otworzono gimnazjum, a więc doszli koledzy, nauka, egzaminy. Ukończyłem Państwowe Liceum Muzyczne w Katowicach. Zostałem nauczycielem muzyki. /.../

To właśnie ks. Lewkowicz wprowadził mnie w świat muzyki dając mi początki, podstawy wiedzy i umiejętności praktycznych z zakresu muzyki. To on wszczepił we mnie zainteresowanie i zamiłowanie do muzyki. Naśladując go starałem się być podobnie jak on – wychowawcą oddanym swoim podopiecznym, serdecznym, a co najważniejsze – skutecznym nauczycielem i aktywnym społecznikiem.”

Radom, 6 lipca 2005 r.
Rękopis (w posiadaniu autorki pracy).

7. Styś Lesław – Członek Chóru Katedralnego w Przemyślu w latach 1933-1949. Polonista, emeryt mieszkający w Przemyślu.

„ /.../ Był bowiem Chór ks. Wojciecha Lewkowicza nie tylko zespołem śpiewającym Bogu i ludziom w katedrze, ale szkołą muzyczną (schola cantorum), która kontynuowała długowieczną, bo od średniowiecza począwszy, tradycję szkoły katedralnej: uczyła muzyki.

Mając możnych protektorów w osobach biskupów przemyskich, szczególnie bpa Anatola Nowaka, który wysłał na studia Księdza Dyrektora (Regensburg, Rzym) i powierzył mu działalność muzyczną w diecezji przemyskiej – mógł chłopięco-męski chór pracować, sięgać po coraz to nowe ambitne programy. Śpiew liturgiczny: łaciński (w tym gregoriański) i polski oraz muzyka narodowa stanowiły podstawy jego programu. Dziś byli chórzyści ks. Lewkowicza to starsi panowie, posiwiali dziadkowie, którzy wspominają swoje „bezgrzeszne lata”, kiedy to jako małe chłopięta chadzali podczas procesji w sutannach (przekazał je ksiądz w czasie okupacji chórzystom z przeznaczeniem na spodnie) lub śpiewali *in corpore* w prezbiterium katedralnym. W swoich barwnych opowieściach nie pomijają m. inn. przezabawnych historii wynikających z braku uwagi chórzystów podczas śpiewania.

Jako chłopcy nie tylko śpiewali. Purpurowiał Ksiądz Dyrektor, gdy musiał słuchać nie zawsze pochlebnych słów o swoich niebożętach i to nie tylko od ludzi mieszkających blisko miejsca, gdzie odbywały się zajęcia chóru (domek na Zamku, kamienica przy ul. Chopina 6), ale także modlących się w kościele. Okazało się niezbitcie, że katedra przemyska – to jednak budowla za bardzo jak na potrzeby chóru akustyczna!

Ileż energii, wysiłku trzeba było, by odniosły skutek wzywania na próbę, kierowane przez Księdza Dyrektora do chłopców bawiących się przed zajęciami na zboczu wzgórza zamkowego lub w ogrodzie (podchody, łapany, kiczki, palant, kopanie piłki)! Nawet gromada najbardziej wrzaskliwych wron nie była wówczas w stanie rywalizować ze „słowiczętami” ks. Lewkowicza. Kiedy wreszcie udało się je przywołać i zapędzić do Sali prób, Ksiądz Dyrektor zabierał się do wygaszania pozostałych po harcach emocji. Z praktyki jego, jako wychowawcy i nauczyciela wynikało, że do tego celu najbardziej nadawała się wokaliza, więc śpiewano za Księdzem a-a-a, tj. jedną po drugiej gamy i pasaże, i to tak długo, aż z twarzy umorusanych, podrapanych, niekiedy znaczonych sińcami tzw. śliwkami (kiczka fruująca to jednak materiał twardy!) – nie zniknęły wszelkie oznaki bojowości. Dopiero wówczas rozpoczynały się właściwe zajęcia, a za oknami powoli przychodziła do siebie przyroda, szczególnie – siedzące w cichości wystraszone ptaszyska.

Niemale były obowiązki ówczesnego chórzysty: cotygodniowe próby (3 razy dla chłopców, 2 – dla mężczyzn), lekcje teorii, nauka gry na instrumentach, niedzielne śpiewy podczas Sumy w katedrze. Ale też umiał ks. Lewkowicz stworzyć doskonale warunki dla wypoczynku utrudzonego zespołu: „ptaszęta” katedralne odlatywały w okresie wakacji szkolnych na wyraj i to, jak na owe czasy, w odległe krainy – nad morze (Gdańsk-Brzeźno), lub w góry (Olcza k. Zakopanego), lata 1946-1947.

Muzyka jednak stale towarzyszyła chórowi. Śpiewano podczas Mszy niedzielnych w kościółkach miejscowych i kościołach, koncertowano m. inn. w katedrze oliwskiej, w Sali „Morskiego Oka” w Zakopanem. Jakże miłe było spotkanie chłopców z pisarzem, o którym mówiono, że słońce miał w herbie –

Kornelem Makuszyńskim, autorem bogatej twórczości powieściowej dla dzieci i młodzieży. Po koncercie w „Morskim Oku” autor *Szatana z siódmej klasy* czekał, by pogłodzić główki przemyskich chłopiąt, przyjrzeć im się z bliska, rozweselić rozmową, pogratulować sukcesów muzycznych. /.../”

L. Styś, „*Śpiewaj, śpiewaj dziatwo mała...*”,
„Niedziela Przemyska” 1996, nr 15, s. 1, 4.

/.../ „Śpiew gregoriański był ulubionym Jego zajęciem, czego nie można było mówić o Jego chórzystach, zwłaszcza tych najmłodszych, którzy wprawdzie trzymali w rękach foliał „Liber usualis”, ale początkowo bezradnie, bo trudność sprawiał im zapis nutowy tak różny od notacji, jaką poznawali, ucząc się gry na instrumentach i śpiewu wielogłosowego. Z czasem i „gregorianka” znalazła większe zrozumienie młodziutkich śpiewaków – w miarę, jak dorastali, pogłębiała się ich kultura muzyczna. /.../

Jeszcze nie ucichła wojna, Przemyśl nie zdołał usunąć gruzów z ulic, gdy widziano Księdza późną jesienią 1944 roku, jak powracał z Jarosławia, gdzie przeżył czas okupacji. Jechał na platformie (wozy, platformy to były rzadkie, ale jedyne dla ludności cywilnej sposoby podróżowania po działaniach wojennych), wiózł fortepian i kilka drobnych sprzętów. Siedział obok woźnicy, rozglądał się i odpowiadał skinieniem głowy i uśmiechem na pozdrowienia przemyslan. Śpieszyło Mu się, powracał na swoje miejsce, do Przemyśla. Tu zdawał maturę, tu został alumnem, katechetą szkolnym, profesorem Seminarium Duchownego, tu był Dyrektorem Chóru Katedralnego. Nieco pochyloną Jego sylwetkę widziano później, gdy chodził ulicami miasta, patrzył na zniszczenia wojenne, poszukiwał w nich śladów dawnego życia no i z wielką ostrożnością, niepewnością zaglądał niekiedy także do domów swoich chórzystów.

Zaskoczeniem dla piszącego te słowa było pierwsze powojenne z Nim spotkanie: właśnie wracaliśmy z kolegą ze szkoły, gdy nagle usłyszeliśmy dobiegający nas z tyłu znajomy głos, to z przed wojny tak dobrze znane, tak często słyszane wezwanie: *Chłopcy, śpiewamy!* Po mrocznych latach okupacji sowiec-

kiej i hitlerowskiej przeżywalismy radosne odnalezienie siebie, tylko, jak się później okazało, już nie wszyscy.

Gdy w wyzwolonym Przemyśle przystępował Ksiądz do reaktywowania Chóru Katedralnego, właściwie prawie wszystko trzeba było zaczynać ab ovo. Chłopięcych głosów nie było, męskich - niewiele, zniszczeniu uległ majątek Chóru, więc z konieczności zaczęliśmy jesienią 1944 roku posługę liturgiczną w katedrze od kameralnego zespołu męskiego. Na chłopców trzeba było czekać, bowiem jednego roku potrzebował Ksiądz, by ich jako tako przygotować do pierwszych chłopięco-męskich śpiewów w kościele. /.../

Uwag ks. Lewkowicza o przydatności chórzystów do śpiewu, muzykowania znaleźć można w zachowanych dokumentach sporo. Jedna wyróżnia się, bo wydaje się być ciekawostką: wyraża ona zachwyty Księdza dla ziemi przemyskiej, dla Przemyśla, jego okolic: Cebulanki, Podzamcza, Kruhela, Zielonki, odległych od centrum peryferii, które, jak stwierdza Ksiądz, obrodziły głosami o pięknym, szlachetnym brzmieniu.

Nie mylił się Ksiądz w swoim „odkryciu”, to była prawda o chłopięcych głosach Chóru Katedralnego, potwierdzona przez Stefana Stuligrosza, który miał okazję poznać przemyskich śpiewaków, gdy odpoczywali latem 1947 roku w Olczy k. Zakopanego. Po koncercie Chóru w Sali „Morskiego Oka” w Zakopanem odprowadzaliśmy pana Stuligrosza, my, tj. wówczas świeżo upieczeni maturzyści, którzy myśleli o dalszej nauce, o studiach. Pan Stuligrosz zapraszał do Poznania, do swojego Katedralnego Chóru Chłopięco-Męskiego (był już wtedy po śmierci ks. W. Gieburowskiego jego dyrygentem). W rozmowie z nami podkreślał wartość pracy ks. W. Lewkowicza, ale szczególnie dużo mówił o Jego „ustawianiu chłopięcych głosów”. Było ono, zdaniem naszego rozmówcy, inne niż w praktyce niemieckiej wokalistyki, inne niż u niego w Poznaniu. Nietrudno było rozumieć sens tej wypowiedzi, praca Księdza nad kształceniem chłopięcych głosów była autorska, nic dziwnego, że przysporzyła chórowi przemyskiemu tę wartość, którą określa wyrażenie: *differentia specifica*.”

8. Ks. Zawitkowski Józef - Biskup pomocniczy w Łowiczu. Były student ks. Lewkowicza. W latach 1971-1982 był dyrektorem Studium Organistowskiego w Warszawie.

„O księdzu Wojciechu Lewkowiczu muszę wspomnieć, bo był to człowiek legenda. Dużej klasy muzyk. Znał harmonię i umiał jej uczyć. On też jedyny umiał dyrygować chorałem. Są to zupełnie inne zasady, niż w dyrygenturze metrycznej. Dziś umie dyrygować chorałem ks. Wiesław Kądziela i siostra Alicja Jończyk. Dyrygowanie melodią chorałową nazywa się chironomią. To piękna sztuka. Tego miał nas nauczyć ks. Lewkowicz. Każdy z nas umiał zadyrygować prostym utworem chórowym, ale chironomia była dla nas chińszczyzną. A On brał każdego z nas za łapę i uczył, ale przecież nie da się tak samo dyrygować inną melodią gregoriańską. Cuda-śmy pokazywali tymi rękami, ale Lewkowicz się darł:

- *Ptasiński ty leniu, kręcisz tą łapą jak krowa ogonem! Dosyć!*

- O radości iskro bogów.

Rysiek był jednak przebieglejszy od Nauczyciela. Na palcach Franka pokazywał brzydki obrazek. Gęby wszystkich księżyców uśmiechały się pożądliwie.

Zerwał się Lew i krzyknął:

- *Zdjęcie Ks. Profesora. I pokazał zdjęcie z książki „Harmonia gregoriańska”.*

- *To się nazywa obrazo-bóstwo!*

- *Może i tak księżo Profesorze.*

- *O tempora, o mores! /.../”*

Ks. J. Zawitkowski, *Ks. mgr Wojciech Lewkowicz (1901-1971), muzykolog*, w: *Ocalić od zapomnienia. Profesorowie Akademii Katolickiej w Warszawie we wspomnieniach wychowanków*, pod red. ks. J. M. Dołęgi i ks. J. Mandziuka, Warszawa 2002, s. 103-104.

„Był bardzo towarzyski – opowiadał barwnie, z właściwą sobie swadą anegdoty, pełne humoru i dowcipu. Kochał swoich uczniów, krzyczał, kiedy profanowaliśmy chorał, ale umiał nauczyć go kochać. Jako profesor chciał nam pokazać piękno melodii gregoriańskiej, gdy one musiały odejść po roku 1964.

Śpiewając *O Sacrum Convivium* – rozplakał się. Komicznie nas parodiował na emisji głosu, wpadał w serię wymyślań w stylu – jak możesz tak beczeć w kościele, potem roześmiał się jak Sarmata i kazał śpiewać dalej. /.../

Z okazji nominacji na prałata przynieśliśmy mu kwiaty – umiał się cieszyć. Nie lubił przemawiać poważnie, choć poważnie myślał. Ponieważ miał duszę wrażliwą wpadał czasem w smutek i mówił – *Mój Boże, tyle lat...stary człowiek, niedołęga, ale tak się dojrzewa do nieba*. Umiał dyrygować chórem, zaczynał lirycznie, a potem wpadał w pasję, wreszcie klasnął w dłonie i wrzasnął melodię głosu, który popsuł, i znów po serii miłych obelg uśmiechnął się i mówił: *Ale śpiewajcie nie tak jak ja, tak jak napisane!*”

Ks. J. Zawitkowski, M. Kaszuba, *Ksiądz mgr Wojciech Ignacy Lewkowicz*, „Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie” 1972, nr 4, s. 113.